

Krośnice – 1

5 lutego 2020

Tekst ten nawiązuje do artykułu [„Zapomniane małoletnie ofiary PRL-owskiej psychiatrii”](#), a jego treścią są wspomnienia ofiary tych nieludzkich eksperymentów na dzieciach.

Sala Wojewódzkiego Szpitala Neuropsychiatrii w Krośnicach
W Krośnicach znalazłem się przez interwencję Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Warszawie. Pochodzę z rozbitej rodziny. Wychowywały mnie Babcia i Mama. Byłem bardzo nadpobudliwy, w szkole miałem negatywne zachowanie nawet wbrew własnym staraniom. Myślę, że gdyby w promieniu 100 kilometrowym ode mnie znalazło się gówno, ja bym w nie wlażł.

Przyjechaliśmy do Krośnic nad ranem w pierwszej połowie listopada 1967 roku. Do kurortu trzeba było iść ok. 4 km. Do ok. 7-8 godziny rano siedzieliśmy w otwartej na noc izbie przyjęć, potem skierowano mnie na VIII pawilon i zostałem przydzielony do IX grupy. Była ona liczebnie największa, a prowadził ją niejaki Bieroń lub Bieroń, starszy gość, o dość niecierpliwym usposobieniu do dzieci.

Byliśmy dziećmi. Ja miałem 10-11 lat. Był 1967 rok, a ja jestem z listopada 1957. Dziecko pamięta głównie złe rzeczy jakie go spotkały. Szczególnie, gdy złych było więcej, niż tych dobrych. Byłem pierwszy raz poza domem, sam. Pamiętam wielką samotność i pustkę. Nie pojmowałem relatywnie właściwych powodów dla jakich się znalazłem w Krośnicach. Dla mnie było to, jak oddanie psa do schroniska. Zdrada uczuć i zachwianie całej stabilności jaką zapewniał mi dom.

Zbliżał się czas akademii ku czci wodza rewolucji. Ja przyjechałem w samą gorączkę przygotowań. Z Bieroniem miałem wtedy, jako nowo przybyły, kilka starć. Byłem ciągnięty przez niego za uszy i podbródek. Za uszy podnosił mnie kilka razy do góry, więc mi je naderwał od dołu. Pielęgniarki znały

pochodzenie tego typu uszkodzeń, lecz nie reagowały. Stosowały tylko zasypkę pabiamidową i na tym się kończyło. Pozostałe dzieciaki ostrzegały mnie słowami – „Nie zwracaj na siebie uwagi, bo pójdziesz na topy”. Pytałem więc, co to jest. Powiedziano mi, że jest to rażenie prądem. Że w gabinecie Kunzego (pokój przylegający do zabiegowego) stoi piekielna maszyna z gałkami i że niegrzecznych 2-3 razy w tygodniu prowadzą do tego gabinetu. Przy zabiegowym znajdowała się sala dla tych, wobec których stosowano iniekcje. Sala ta posiadała wielkie okno w celu obserwacji pacjentów. Kiedyś Kunze „przypalił” mnie, jak usilnie zaglądałem przez szparę w drzwiach. Nie zwrócił na mnie uwagi, tylko rzucił parę słów, coś w sensie „Gdy jestem ciekaw, to może dojść spotkania się z tą maszyną”- taki był sens...

Sypialnię mieliśmy potężną. Obok świetlicy IX grupy. Moją szczególną uwagę zwrócił nieznośny odór moczu dobiegający mnie, mimo że sala była czysta, bo chłopcy mieli dyżury. Dostrzegłem jeszcze coś, co mną wstrząsnęło. Przed ciszą nocną, kilku chłopców położywszy się do łóżek, kręciło głowami w lewo i prawo, poza własną kontrolą. Jakby wpadali w trans. Niektóry przy tym śpiewali... Inni, leżąc na brzuchu uderzali głową w poduszkę, mówili do siebie, lub uderzali, milcząc. Ja parę nocy przepłakałem.

Za zsikanie się do łóżka, wielu to robiło, stosowano tzw. topy. Elektrowstrząsy, zwane zabiegami topelektrycznymi. Robiono to u dzieci z różnymi rozpoznaniem. I nie mi oceniać waler tego zabiegu. Wobec mnie stosowano te zabiegi bez uprzedniego zwiotczenia mięśni. Trzymano mnie siłą, zmuszając mnie do bierności. Wykręcano ręce i nogi, gdy walczyłem. A przede wszystkim, wobec oświadczeń lekarzy, była to KARA, nie leczenie. I jako KARĘ to odbierałem.

Poza topami, stosowano inne „metody lecznicze”, farmakologiczne. Byłem wielokrotnie poddawany zabiegom iniekcyjnym, złożonym z fenactilu, relanium, lub fenactilu ze sparina. Jedną z tzw. kuracji stosowanych wobec mnie, były

iniekcje insulinowe (nigdy nie cierpiałem z powodu cukrzycy), aby wywołać wstrząs i śpiączkę insulinową. Bardzo mało pamiętam z takich zabiegów. Podawano nam przy tym do wypicia tzw. BLW (brom-luminal-waleriana). Nie miało to nic wspólnego z metodą blw stosowaną w pediatrii w celu nauczania noworodka samodzielnego jedzenia.

Mieliśmy wszyscy po ponad 10 lat. Leżeliśmy po tym zamuleni strasznie. Budziłem się w dzień ze ślinotokiem. Nigdy. Podkreślam, NIGDY nie rozpoznano u mnie choroby psychicznej, tym bardziej schizofrenii. Terapie te trwały przeciętnie do dwóch tygodni. Czasem dłużej, ale normą były dwa tygodnie. Nie wiem i nie rozumiem tego rodzaju „leczenia” aplikowanego dzieciom.

Miałem bardzo skłute zastrzykami pośladki. Zastrzyki walono trzy razy dziennie grubymi igłami. Podawano również w tym samym czasie zastrzyki z witaminy (B-12?), co było bardzo bolesne ze względu na jej oleistość.

Zadziwiające jest w tym wszystkim to, że cała przewrotność leczenia polegała na wywołaniu w tobie wymuszonych zachowań behawioralnych, przy zastosowaniu środków będących w obiegu leczniczym, zmuszeniu do poddania się tym zabiegom przy przekonaniu, że ty i twoje ciało tego potrzebujecie. Oficjalnie nikt się nie przyczepi, bo do czego?! Witamina jest legalna, a fakt, że wywołuje ból, to tylko efekt skutku ubocznego. W rzeczywistości jednak stosowano ją aby sprawić ci cierpienie. Byś wiedział, że jeśli nie będziesz cichy i pokorny, pójdziesz na zabiegi.

Stosowano celowe przedawkowywanie haloperydolu u dzieci NIE WYMAGAJĄCYCH tego leku. Po co? Skutkiem ubocznym działania haloperydolu są; drżenie, duże napięcie mięśni, ślinotok, nadmierny przymus poruszania się, akatyzja (przy czym podano do tego inne, antagonistyczne neuroleptyki i trankwilizatory) oraz dystonia (napadowe wykręcanie mięśni, nienaturalne postawy, wyginanie się). Ja nie miałem podawanego

haloperydolu. Ale dzieci obok mnie, tak. Nas straszono, że one mają to za karę, a więc i nas to może spotkać. Bardzo się bałem.

Czasu mieliśmy dużo, ale nie dla siebie. Można powiedzieć, że wychowawcy chcieli zorganizować swój czas, ograniczając się do posiedzenia z nami do końca dyżuru, po czym udać się do siebie. Bywało, że całą grupą wychodziliśmy na spacer w stronę jezior krośnickich, ale był to przeważnie wieczór lub późne popołudnie. Rzadko graliśmy w piłkę. Boisko było przy drodze w stronę Wierzchowic. Mimo takiej przestrzeni nie mieliśmy zbyt wiele ruchu lub możliwości spalenia nadmiaru energii. Stąd u chłopców nadpobudliwych niepożądane przez personel zachowania, stąd też zła kryteria ocen, co skutkowało karami...

Wychowawcy, po odebraniu nas ze szkoły (szkoła podstawowa mieściła się w obecnym Urzędzie Gminy, pamiętam z niej piękny parkiet ozdobny z różnorakiego drewna, ułożonego w jakiś gwiazdzisty wzór, oraz przepiękny park), prowadzili nas parami do pawilonu, na tzw. grupę. Ja byłem na grupie V wtedy. Naszymi wychowawcami było małżeństwo Rakowieckich oraz Elżbieta Płaziuk. Była piękną kobietą o urodzie aktorki.

Nasza świetlica była niewielka (na grupie IX była potężna). Znajdowało się tam parę stołów, szafa wychowawcy i oświetlenie jarzeniowe. Czasem, po odrabiankach mogliśmy sobie w coś pograć, w jakąś grę planszową (chińczyk). Każdej grze towarzyszą emocje. Nam kazano bawić się w ciszy. Zakłócenie jej groziło obniżeniem oceny ze sprawowania (zeszyt był prowadzony z kratkami z rana i popołudnia do wypełnienia), choć najczęściej było to karane staniem długi czas na baczność. Tak, ot! Bez sensu! Stać, i już. Grupowy miał za zadanie nadawanie dyscypliny temu staniu. Grupowym był niejaki Majcher z Łodzi, a następnie chłopak z Olsztyna, Andrzej Wangren.

Pamiętam niektórych chłopców z nazwiska. Gogulski i Florek z Oświęcimia, Seidler z Łodzi, Naleziński, oraz bardzo chory

Wojtek Kłopotowski z Łodzi. Czasem był z kontaktem, często bez. Moczył się. Czasem zrobił kupę pod siebie bezwiednie. Był ładnym dzieciakiem, miał piękne, duże, smutne i wymowne oczy. Dlatego go zapamiętałem. Jemu też robiono za sikanie zabiegi topelektryczne. Jego stan się pogłębiał. W końcu zniknął.

Nie wiem, czy zabrali go rodzice, czy poszedł na tzw. oddział IX, czy X. Były to parterowe baraki po drugiej stronie ulicy. Znajdowały się tam dzieci w stanach chronicznych, oderwane od rzeczywistości, przywiązane pasami lub bandażami do łóżek. Kilka razy urwałem się, zobaczyć co się tam dzieje. Widziałem to na własne oczy. Wszystkie dzieci w sali, większość leżący. Przez okno czuć było zapach zasikanej gumy spod materacy. Raz chyba widziałem jak latem wyprowadzono tę chorą czeredę na zewnątrz, tych, co chodzili. Widok porażający. Jedni stali kiwając się raz w przód, raz w tył, zacierając ręce, inni kręcili głowami na strony, inni mieli bandaże na dłoniach i byli jak manekiny, zamarli w ruchu.

Oddziały dziewczęce były tam, gdzie znajduje się samolot. Tam, w budynkach obok, takich niepozornych znajdowała się pracownia EFG, rentgen, i tam też robiono punkcje, odmy i pneumoencefalografię. Miałem trzy takie zabiegi. Dwa nieudane lub chodziło jedynie o pobranie płynu mózgowo-rdzeniowego. Po jednym zabiegu leżałem kilka dni z wielkim bólem głowy. Po każdej z punkcji musieliśmy leżeć ok. trzech dni na płaskim. Skończę w tym momencie.

Ciąg dalszy nastąpi

Autorstwo: Andrzej Dobrski

Źródło: FundacjaWiP.wordpress.com